Rok XVI. — Nr. 2. Luty 1908.

Echo z Afryki.



Św. Piotrze Klawerze, Apostole murzynów, módl się za nich i za nasze dzieło!

Błogosławione przez Ich Świątobliwości Leona XIII i Piusa X.

Administracya: Kraków, ul. Św. Anny, 4.

Prenumerata roczna: K. 1·50; M. 1·20; R. 1.

W pierwszy wtorek każdego miesiąca odprawia się za żyjących i zmarłych prenumeratorów „Echa“ przez jednego z XX. Misyonarzy w Afryce Msza św. cicha.

ZADANIE NIEWIAST KATOLICKICH W DZIELE MISYJNEM.

Przez O. Friedricha, T. J., byłego misyonarza afrykańskiego.

I. Apostolstwo kobiety.

W Ewangelii św. Mateusza (27, 55) czytamy: „I było tam wiele niewiast zdaleka, które były poszły za Jezusem od Galilei, *posługując Mu*.“ Pobożne więc te niewiasty wspierały Zbawiciela naszego w Jego działalności apostolskiej, śpiesząc Mu z materyalną pomocą, pobudzone miłością ku Niemu i pragnieniem dorzucenia także swego szelążka do nawrócenia świata. Wszystkim zaś przyświeca w tem ofiarnem poświęceniu N. P. Marya, Matka Jezusowa, której całe życie oddane było wyłącznie jak najściślejszemu współdziałaniu w dziele Odkupienia.

Wspaniałe te przykłady znalazły też naśladownictwo pomiędzy niewiastami chrześcijańskiemi. Nie zapominały one nigdy o *obowiązkach*, jakie *miłość bliźniego*, a zwłaszcza *żarliwość o zbawienie dusz* nakłada na wszystkich chrześcijan, którzy, odpowiednio do swej możności i stanowiska, winni przyczyniać się do ratowania dusz nieśmiertelnych. A ponieważ miłość Boga u dusz żarliwych przekracza zwykle granice obowiązku, nie zbywało też nigdy w Kościele na ofiarności, a w naszych czasach obok tylu prób tak smutnych, widzimy na swą pociechę coraz większy rozkwit dzieł dobroczynnych, przejawiający się w licznych czynach miłosierdzia tak co do ducha, jak i co do ciała.

Że obok religijnych Zgromadzeń zakonnych męzkich, poświęcających się wychowaniu dzieci, tyle niewiast zakonnych w żarliwości o zbawienie dusz składa swe życie w ofierze temu pełnemu ciężkich trudów powołaniu, to dowodzi, że nie wygasł jeszcze w Kościele św. ów duch, który czynił z pierwszych chrześcijan wiernych współdziałaczy Apostołów w rozkrzewianiu i utwierdzaniu Królestwa Chrystusowego na ziemi. Ale i tak obfita w ofiary działalność po szpitalach, poświęcona bezpośrednio pielęgnowaniu fizycznej strony chorych, ma przedewszystkiem na celu ich dobro duchowe i jest przytem dla wszystkich, umiejących jeszcze myśleć rozsądnie, najjaśniejszą apologią chrystyanizmu katolickiego, oraz naocznym dowodem niewidocznej wprawdzie, ale wszechmożnie skutecznej łaski Bożej, która dziś tak samo, jak i za krwawych czasów męczeństwa, zdolną jest wzbudzić prawdziwe cuda ofiarności i poświęcenia.

To samo da się powiedzieć o każdej działalności miłosiernej, bo każda ofiary wymaga i każda ma za właściwy cel swój *duchowe dobro* bliźniego, jest więc głównie dziełem żarliwości o zbawienie dusz, dziełem apostolskiem. Niewiasty katolickie uczestniczą w niem, dzięki Bogu, w dzisiejszych czasach czynniej, niż kiedykolwiek, co jest również dowodem, że Kościół nasz katolicki o tyle wzrasta w siłę wewnętrzną i żywotną, o ile mu jej ubywa przez śmierć zasłużonych członków: jest on i pozostaje zawsze drzewem rodzącem wspaniałe owoce.

Co głównie charakteryzuje naszą katolicką działalność miłosierną, to *czysta intencya* i *skromność,* lubiąca pozostawać w ukryciu. Jakże pełną zaparcia i wolną od wszelkich względów pobocznych, np. od troski o dostateczne zaopatrzenie na przyszłość, jest działalność katolickiej Siostry zakonnej tu i w krajach misyjnych!

Jak rzadko rozlega się u nas trąbka reklamowa, jak starannie unika się wszelkich przesadnych sprawozdań! Nawet rzeczywiste rezultaty i postępy pozostają często latami całemi nieznane, lub donosi się o nich w sposób tak skromny, że zaledwie domyślać się można wszystkich poniesionych ofiar.

Zaparcie się jest zwłaszcza potrzebnem przy wszystkich dziełach miłości na *misyach wśród pogan,* gdyż *tu* miłość własna nie znajduje żadnego zadowolenia, tu może być skuteczną i czynną tylko miłość ku Bogu i dlatego są te prace w oczach Boga czystem złotem.

I właśnie ta zupełnie nieegoistyczna miłość porywa serca szlachetne. Święci też ona najpiękniejsze tryumfy, nie może bowiem zbywać na błogosławieństwie Bożem tam, gdzie składają się tak czyste ofiary, gdyż Bóg nie daje się nam, ludziom, wyprzedzać w hojności.

Jakiż więc udział biorą niewiasty katolickie naszych dni w misyach pogan? Pośredni i bezpośredni. O jednym i drugim chcemy pomówić trochę obszerniej.

(C. d. n.).

WYCIECZKA MISYONARZA.

Opowiadanie O. Markiewicza T. J.

(Dokończenie).

Niedziela, 3 czerwca 1906. — Zielone Świątki, dzień przecudny. Olbrzymi dziedziniec umieciony czysto, piękne lasy widnieją zdala naokoło wioski, a wśród zieleni odbijają pięknie czerwone i białe owoce. W środku wioski wbito krzyż na szczycie kopca, usypanego przez mrówki, a twardego jak skała. Tutaj zebrałem po Mszy św. garstkę chrześcijan i katechumenów i powiedziałem im naukę. Odwiedził mnie naczelnik wioski pogańskiej i przyniósł koszyk orzechów ziemnych, 18 ogromnych bananów i przyobiecał dostarczyć chleba. Czytałem chrześcijanom i poganom ustępy z książki w języku kikongo, co ich tak zajęło, że po południu znowu mię prosili, abym im co przeczytał. Wypytałem chłopców z Ferme-Chapelle katechizmu — modlitwy umieli dobrze.

Naczelnik wioski pogańskiej, Mfumu Nankusu, przyniósł 5 bochenków chleba i rybki suszone. Zapłaciłem wprawdzie za to wszystko 110 halerzy, ale tragarze moi mieli za to wesołe Zielone Świątki, bo im nie brakło ani chleba, ani przyprawy do niego. W Ndolo-Kilalu mnóstwo się roi komarów, bo blizko są bagna i rzeka Ngufu. Wieczorem przyniósł znowu Nzau, szef wioski Kinsala, chleba i uguby. Nazajutrz pytam chłopców, gdzie chcą uprawiać maniok? Wskazują mi las poblizki, ale naczelnik wioski Kinsala protestuje, mówiąc, że grunt do niego należy. Chłopcy twierdzą, że teren należy do wioski Sanci, która wymarła. — Więc połowa gruntu należy do was, połowa do Kinsala. Targował się naczelnik, ale gdym mu dał paczkę zapałek, ustąpił i oznaczyliśmy granice terenu, między Kinsala a Kilalu. Zaczęli tedy chłopcy ciąć las i byli kontenci z wyboru miejsca pod uprawę manioku i uguby. Dawszy błogosławieństwo chrześcijanom i katechumenom z Kilalu, puściłem się do Jongo, odległego przeszło o dwie godziny drogi bagnistej i lesistej. Spotkałem po drodze murzynów, którzy szli ze strzelbą, aby strzelaniną uczcić nieboszczyka. Kobiety poprawiały drogę — co za licha robota! oskrobią motyką ścieżkę z trawy, pół na pół, *ut aliquid fecisse Videantur.*

Jongo, wieś pogańska, ogromna, składająca się z ośmiu wiosek mniejszych: bibelo (przysiółek). Naczelnik, dowiedziawszy się o mojem przybyciu do Ferme-Chapelle przyszedł w odświętnem ubraniu z całą gromadą niewolników, niosąc mi w darze chleb i ugubę. Siadamy wszyscy na ziemi i rozpoczynamy rozmowę, przyczem korzystając ze sposobności wyłuszczam im główne artykuły wiary świętej, pokazując obrazki biblijne. Słuchali z uwagą i potakiwali, że z pewnością lepiej im będzie, gdy poznają prawdziwego Boga, zachowają Jego przykazania, grzechy ustaną, a wioski ich, będące na wymarciu, odżyją. Naczelnik wioski na jedno nie chciał się zgodzić, to jest aby miał zostać tylko

z jedną żoną. Wkońcu zażądali odemnie pieniędzy na chleb, banany i ugubę i odeszli. Bakongowie niby dają prezenta, ale biada ci jeżeli nie zapłacisz, bo zaraz skarżą do naczelnika dystryktu. O jak nizko upadły to lud!

Wieczorem tańczyli chłopcy z Ferme-Chapelle do księżyca; taniec ten polegał na tem, iż uszykowali się w półkole, a jeden tańcząc i giestykulując, wywoływał każdego do tańca. Inni ciągle śpiewali: „Siama siama", co znaczy: wzmocnij się.

Nazajutrz pytałem czytania i modlitw, wyciąłem z nimi kawał puszczy leśnej pod uprawę manioku, zaopatrzyłem ostatnimi Sakramentami chorego na lubansi, t. j. zapalenie opłucnej i zaaplikowałem *visicatorium*. Kto odrzuca lekarstwo, ten zazwyczaj umiera.

Wychodzę z Jongo, a jednak przez jaką godzinę ciągle napotykam szymbeki murzyńskie, które należą do Jongo — lasy pełne kauczuku.

Po dwóch godzinach drogi z Jongo doszedłem do *Kimuisi*. Ferme-Chapelle wznosi się na ogromnej górze, skąd szeroki widok na całą okolicę. Niestety, choroba snu i tu się przedarła. Jedną dziewczynkę, którą niedawno ochrzciłem, teraz, chorą na śpiączkę, wyspowiadałem, kazałem jej osobny domek wybudować, a dwa inne domy, w których chorzy zostawali, również spalić. Chłopcom, którzy nie mieli przyzwoitego ubrania poleciłem zbierać kauczuk, a za pieniądze w ten sposób zarobione kupić materyi do okrycia ich nagości. Chłopiec 13-letni jest w stanie zarobić 5 franków tygodniowo. Europejczycy płacą tu za 1 kg. 5 franków, a mimo kosztów transportu mają jeszcze w Europie 4 franki zysku na każdym kilogramie.

Pytałem znowu katechimu, powiedziałem naukę i zaopatrzyłem rany. Jeden z chłopców miał piętę formalnie zjedzoną przez kleszcze (pchły afrykańskie).

Z Kimuisi poszedłem do Ferme-Chapelle *Lembo*. Zdaleka dochodził mię głos wspólnej modlitwy, co mię wzruszyło, gdyż Pan Bóg z ust niemowlęcych i tutaj odbiera chwałę. Wprawdzie wola tych murzynków słaba jeszcze i nie zaprawiona do dobrego, lecz jakże się dziwić, gdy rodzice ich zabijali jeszcze swych współbraci i jedli ich ciało. Chłopcy opowiadali mi, że widzieli na własne oczy, jak mieszkańcy jednych wiosek napadali na drugich, walcząc od rana do wieczora. Wieczorem zabierali zwycięzcy ludzi z wioski zwyciężonej, krępowali ich i sprzedawali; tłuściejszych zachowywali na ucztę. Gdy schwytano złodzieja na małej choćby kradzieży, to go sprzedawano bez miłosierdzia. Chorego na senność lub na inną jaką zarazę, topiono w większych rzekach. Oto z takiego materyału, z dzieci, co wzrosły wśród takich tradycyj i zwyczajów, trudno zrobić wzorowych chrześcijan. I w Chinach i w Indyach i tu w Kongo, pierwsi chrześcijanie są dość mizernymi chrześcijanami. W Lembo policzyłem dzieci, czy nie uciekły, kazałem katechiście dobrze uczyć znaku krzyża św. i modlitwy, aby tego nie przekręcali.

Wycięli tu w mych oczach las, dla odsłonięcia widoku na piękne góry. Przyszli krajowcy ze skargą na ludzi wysłanych z Bansa-Boma przez szefa dystryktu, którzy pobili naczelnika wioski, iż się ruszać nie mógł, a nadto skrępowali go i nie uwolnili, aż się wykupił 5 frankami. Otóż i tę skargę im napisałem, gdyż tę i ową przysługę im wyświadczamy, aby ich w ten sposób pociągnąć do wiary św.

Stąd ruszyliśmy do Ferme Chapelle *Bemba.* Przechodziliśmy wioski wymarłe i napotykaliśmy pełno cmentarzysk, a na ten widok przyszło mi na myśl, że oni nie otrzymali łaski chrztu św., a gdy się z nimi spotkamy na drugim świecie, okaże się cała Mądrość i Sprawiedliwość sądów Bożych. Gdym przechodził przez wioskę Bemba, nagie dzieci pouciekały przedemną, a starsi się zbliżyli, by zobaczyć białego. Jednemu z murzynów powiedziałem, iż jest bratem chłopca z Ferme-Chapelle, bo podobny do niego; innemu żartem, iż w lasach ich trzeba chodzić pod parasolem, bo kauczuk jak krople deszczu z drzew kapie. Tak ich to ucieszyło, iż przynieśli żywności dla moich towarzyszy, a dla mnie banany i kurę. — Jest tu w Bembo w Ferme-Chapelle 70 dzieci.

W niedzielę Trójcy Przenajświętszej miałem naukę o tej tajemnicy, czytałem następnie książkę dla pogan w języku kikongo i dałem lekarstwa chorym. Przyszedł tu chłopiec z Kikandy, ot aby się przejść, jak mi powiedział, a tymczasem Opatrzność Boża sprowadziła go tu, aby przyjął chrzest św. Poznałem, że jest dotknięty śpiączką, pouczyłem go i ochrzciłem.

Okolice Bemby prześliczne, góry i lasy jak w podtatrzańskiem podgórzu. Ponad wszystkie szczyty wystrzela jak wieża, góra Kibila, dzień drogi od Bemby odległa, na pograniczu plemienia Bakongów i Bamfumuków. Kraina Bamfumuków — to olbrzymia piaszczysta i bagnista wyżyna. Z twarzy są oni podobni do Żydów, a włosy mają w tyle związane. Widziałem ich całe wojsko, idące do Bonza-Boma z kauczukiem. Bemba to również kraina kauczuku. Ujrzałem w Ferme-Chapelle w mieszkaniu chłopców cały stos, jakby ziemniaków, przypatruję się im bliżej i przekonywam się, że są to kule kauczuku.

Z Bemby poszedłem przez Kinzazi do *Kinvumbi.* W Kinzazi była rok temu Ferme-Chapelle, lecz chłopcy uciekli, step zarósł jej miejsce i tylko szczyt domu misyonarza świadczy o byłej osadzie.

W Kinvumbi chłopcy wybiegli naprzeciw mnie z pochodniami ze słomy, aby oświecić drogę wśród ciemności. Czekał tu już chłopiec z zapasami żywności od O. Swannet'a z Kimpako, wraz z listami z Europy. Choć byłem zmęczony trzygodzinną podróżą, odżyłem czytaniem listów.

Z Kinvumbi poszedłum do *Kilemo.* W wiosce Kiniku ochrzciłem chłopczyka chorego na beri-beri, który nadto złamał sobie nogę. Noc zapadła nas wśród puszczy leśnej. O godzinie 6 robi się ciemno, choć oko wykol, nic nie ujrzysz. Mimo latarni z trudnością szedłem po pniach i korzeniach. Zdala widać mnóstwo ogni — zbliżamy się, a tu ludzie z plemienia Bamfumuków rozłożyli ogniska na środku drogi i układli się przy nich do snu.

Z Kilemo widać światło lampy naszej, płonącej na werandzie w Kimpako, choć ono odległe o jakie $3^1/_2$ godziny drogi. Po obiedzie chciałem się przedrzemać, ale pożar stepu podchodzący pod Kilemo, wypłoszył mię z domu. Kazałem wyrzucić wszystkie rzeczy na środek podwórza, by przynajmniej to ocalało, gdyby dom spłonął, ale na szczęście krajowcy zgasili ogień gałęźmi palmowemi.

W Kilemo wysłuchałem spowiedzi chorego na śpiączkę i miałem dwa razy katechizm Odwiedził mię tu wódz i zarazem wielki fetyszer z Nsundi-Kinturi i był zadowolony z mojej rozmowy. Przyniósł ogromny gąsior wina palmowego, alem mu zań podziękował, aby moi tragarze nie robili awantur po tym napitku.

Z Kilemo przez Kingombi po dwóch godzinach przyszedłem do *Kimwuandza*. Wioska pogańska bardzo ładnie zabudowana domkami o ścianach ozdobionych deseniami z różnych traw i gałązek. Naczelnik Kimwuandzy życzliwie przyjęty w Bembie, gdzie się z nim spotkałem, przysłał mi banany, chleb i ogromnego koguta.

Po nauce katechizmowej obejrzałem Ferme Chapelle Kimwuandza, zbudowaną na wyżynie, z której widać Kimpako jak na dłoni.

Z Kimwuandzy poszedłem przez Jambę do *Imbi*. Chciałem wyszukać nowego miejsca pod Ferme Chapelle, lecz trzeba najpierw znaleźć wodę. Znaleźliśmy bagnisty potok w głębi przepaści i spuszczając się ciągle w dół, doszliśmy do głębokiej kotliny, zewsząd zamkniętej, w której cisza panowała niezmącona. Olbrzymie drzewa o białej korze, liany, zwieszające się w kształcie łuków, wszystko to czyni to miejsce podobnem do owych świątyń zapadłych, do owych krain zaklętych, o których tyle razy słuchałem w latach dziecięcych.

W Imbi znalazłem w Ferme-Chapelle dzieci o główkach zdolnych i bystrych. Z katechizmu i z nauki czytania byłem zadowolony, choć niektórych musiałem ukarać za ucieczkę i włóczęgę po lasach. Miałem tu dwie katechizacye, wyspowiadałem chorego na śpiączkę i dałem mu Komunię św.

Spakowawszy rzeczy w Imbi, chciałem wracać do Kimpako, gdy wtem przynieśli mi chłopcy z Ferme-Chapelle Kongo list z wiadomością, że żona katechisty jest ciężko chora, a inne dziecko jest umierające. Poszedłem więc do Kongo, wyspowiadałem chorą, ale ponieważ kufer z olejami św. i przyborami do Mszy św. poszedł już do Kimpako, nic więcej nie mogłem zrobić. Dziecko otrzymało chrzest św. od katechisty przed mem przybyciem i umarło w mych oczach. Inne dzieci przy trupie najspokojniej rozmawiają, jedzą i bawią się, jakby czucia nie miały. Nagła ta śmierć skłoniła mnie do tego, iż uczyniłem przegląd wszystkich dzieci w Ferme-Chapelle i 8 słabszych zabrałem do Kimpako, aby je tamże przygotować do chrztu św. i ochrzcić.

Podejrzywam krajowców, którzy zmuszeni przez rząd oddali nam swe sieroty, że ze złości je zatruli, gdyż mnóstwo dzieci miało twarze i oczy zapuchłe, chorują na żołądek i umierają.

Z Ferme-Chapelle Kongo wracając do Kimpako, natrafiliśmy na ślady słonia. Olbrzymie nogi zapadały się w miękką ziemię, tu i ów-

dzie gałęzie ogołocone z liści, banany zjedzone i porozrzucane, a ślady te ciągnęły się ze dwie godziny po drodze, uczęszczanej przez ludzi. Szczęściem nie spotkaliśmy tego zwierza.

Noc już zapadła, gdyśmy się zbliżali do Kimpako, do naszej re zydencyi; liczne ogniska katechumenów i chrześcijan, przybyłych na jutrzejszą Mszę św. niedzielną i lampa na naszej werandzie pocieszyły nas; koniec naszej podróży się zbliżał. Byłem dobrze zmęczony, bo po raz pierwszy w życiu odbyłem drogę pieszo, trwającą 22 dni jednym ciągiem. *Deo gratias!*

HANDEL NIEWOLNIKAMI NA PUSTYNI

przez O. Paulina, O. F. M.

Miasto Benghazi, położone w Trypolisie, nad brzegiem morza, jest całkowicie arabskim. Niewielki handel, jaki prowadzi, pozostaje w ręku Żydów i schyzmatyckich Greków, a zwłaszcza Arabów, katolicy wogóle są biedni. Arabowie żyją z handlu murzynami. Nawet najbogatsi nie gardzą uprawianiem tego nikczemnego rzemiosła. Pewnego dnia zaszedłem do sklepiku jednego z moich arabskich przyjaciół, by zasięgnąć nowin o karawanie. Mówiąc o swym handlu, rzekł mi on: „Gdybym miał żyć tylko z tego, co zarabiam w mym sklepie, byłbym biednym człowiekiem; ale moim handlem jest targ niewolnikami, gdy uda mi się sprzedać ze dwudziestu pięciu niewolników na rok, mam dosyć na życie.“ Jeżeli się kupuje niewolnika wprost od karawany, to jest — jak mówią — z pierwszych rąk, płaci się zań zwykle 60 do 70 franków; jeżeli zaś używa się pośrednictwa kupców, cena jego jest podwójną. Dowiedziawszy się o tym szczególe, ułożyłem sobie odpowiedni plan. Wysyłam człowieka zaufanego wprost na pustynię, naprzeciw nadciągającym karawanom i ten kupuje mi tanim kosztem małych niewolników, których los jest najbardziej godnym litości. W taki to sposób nabyłem właśnie dwóch chłopczyków i sześć dziewczynek. Historya tych biednych murzyniątek rożdziera serce. Podobną jest zresztą do tej, jaką opowiedziałem niedawno w ostatnim mym liście i którą „Echo“ zamieściło.

Jedna z tych małych murzynek, milutka pieszczoszka, nosząca wdzięczne imię Fatmy, opowiada mi, jak bawiąc się z towarzyszkami przed rodzinną chatką, otoczoną została nagle wraz z niemi przez jeźdźców arabskich, porwaną na koń i uwiezioną daleko na pustynię. Przebyła rok cały w domu grabieżcy, który ją porwał, a potem przywiązano ją do łańcucha niewolników i zawleczono aż tutaj Kiedy ją wykupiłem, sam jej widok wzbudzał litość... Wytłómaczyłem jej, jaką wdzięczność winna dobrodziejce, która dała mi możność wykupienia jej. „Powiedz — odparła mi — tej dobrej osobie, że nigdy, nigdy jej nie zapomnę.“

W okolicach południowych czarnego kontynentu Arabowie wykonywują swoje bezczelne rzemiosło w sposób prawdziwie okrutny. Zaczynają od istnych rzezi. Otaczają wieś... biedni murzyni chronią się, o ile zdołają, w gęstwi lasów... Ale łowcy, ludzie drapieżniejsi, aniżeli tygrysy, podpalają lasy i chwytają zdobycz w swe szpony.

Starcy, chorzy i kaleki bywają mordowani. Zdrowi mężczyźni, kobiety i dzieci, powiązani szeregami, rozpoczynają bolesny pochód przez palące piaski pustyni... do najbliższego targu niewolników.

Powiadam: najbliższego. Niestety, odległość bywa czasem bardzo wielka. Są to niekiedy całe dni, całe tygodnie, a nawet dwa i trzy miesiące pochodu, którego męczących tortur żadna wyobraźnia nie zdolną jest sobie przedstawić! Jakież to znużenie, jakie wyczerpanie tych kobiet zwłaszcza, przyciskających biedne niemowlęta, wstrząsane dreszczem febry!... Lecz pomimo zmęczenia, pomimo trawiącego głodu i pożerającego pragnienia, męczarni ponad wszelkie męczarnie, trzeba iść naprzód i postępować za jadącymi na wielbłądach panami, pod gradem ich klątw, wymyślań i razów bicza, spadającego ze świstem, jakby dla zabawki, na ich obnażone plecy!... Co za męczeństwo!... Nie dziw więc, że droga na pustyni znaczoną jest kośćmi ludzkiemi, służącemi niby drogowskazy tym, którzy iść nią będą jutro...

Oto niektóre z okropności niewolniczego targu!

Oby niebo raczyło się ulitować nad tymi nieszczęśliwymi paryasami ludzkości! Oby Pan Bóg pobudził do litości serca ich braci, którzy szczęśni, cieszą się w krajach katolickich wszystkiemi dobrodziejstwami cywilizacyi, przyniesionej im przez Pana Jezusa, który umarł dla zbawienia wszystkich!

Korespondencya misyjna.

Prefektura apostolska Liberyi.

(Misyonarze Lyońscy).

Misya Najśw. Serca.

W. O. Kyne, Prefekt apostolski, wezwany do założenia misyi w Liberyi, zachęca w liście poniższym w gorących słowach Sodalicyę św. Piotra Klawera, by mu przyszła z pomocą. Każda fundacya jest trudną, trudniejszą jeszcze, gdy pierwsze próby upadły. Przyśpieszcie, szlachetni Czytelnicy, waszemi jałmużnami i modlitwami zbawienie tylu dusz, póki jeszcze czas potemu, wspomóżcie to serce apostolskie, które zapomina się całkowicie. »Kto daje szybko, dwa razy daje« — a Bóg Wam zwróci!

Kekru.

Dobroć i troskliwość, jaką misyom nieustannie okazujecie, zachęca mnie do przedstawienia Wam w kilku słowach potrzeb tej misyi, którą się zajmuję. Rok temu Święta Kongregacya Propagandy powierzyła Stowarzyszeniu lyońskiemu misyj afrykańskich prefekturę apostolską Liberyi. Jest to czwarta próba, jaka się przedsiębierze w celu ewangelizacyi tego kraju.



FETYSZ BASBONGE.

Msgr. Baron, biskup amerykański, nie chcąc pozostawić pierwszych emigrantów bez pomocy naszej świętej religii, towarzyszył im z kilku swoimi kapłanami. Nieszczęściem, nie byli oni zdolni opierać się długo zabójczemu klimatowi tego kraju. Wszyscy, jeden po drugim, albo padli ofiarą swej żarliwości, albo ujrzeli się zmuszonymi do powrotu dla odzyskania sił wyczerpanych nieustanną febrą. Kraj pozostał wówczas bez kapłana aż do r. 1884, t. j. do chwili, kiedy OO. ze Zgrom. Ducha Świętego przybyli tu, by pozakładać misye. Ale pozostali tylko dwa lata. W r. 1886 oni także musieli opuścić kraj, bądź z powodu braku środków, bądź dla niezdrowego klimatu. Odtąd misyonarze nawiedzali te okolice tylko okolicznościowo aż do r. 1903, w którym osiedlili się tu OO. ze Zgrom. Maryi. Ale pozostali tylko osiem miesięcy. W tym krótkim przeciągu czasu dwóch z nich przypłaciło życiem swe heroiczne poświęcenie, inni zaś musieli wrócić do Europy dla ratowania zniszczonego zdrowia.

Oto, co kosztowała ewangelizacya Liberyi aż do 1905 r. Trzy próby bezskuteczne, nie powiem bezpłodne, gdyż wierzymy z ufnością niezachwianą, że Bóg nie zostawi bez owoców tylu ofiar, poniesionych dla nawrócenia tych ludów. Nie wątpimy, że te dusze szlachetne i bohaterskie wspomogą nas swemi modlitwami z nieba i wyjednają dla tych ludów, które tak kochały na tym świecie, łaskę nawrócenia.

Założyliśmy naszą pierwszą misyę, poświęconą Najśw. Sercu wśród plemienia stepu Little Cap Mount u Galasów.

Pozostawiliśmy poza sobą, tymczasowo, miasta Wybrzeża, ponieważ można się spodziewać z wielkiem prawdopodobieństwem, że zdołamy uzyskać poważne rezultaty wśród dzikich plemion środka kraju. Ludzie zdają się dobrze usposobieni. Wyglądają bardzo uszczęśliwieni, że mają nas wpośród siebie. Chcemy założyć szkołę, gdzie moglibyśmy zbierać dzieci, uchronić je od wpływu pogańskiego wpajając silnie pojęcia chrześcijańskie. Chcielibyśmy to uczynić przynajmniej dla dzieci ze wsi dalej położonych, które nie mogłyby przychodzić rano do szkoły i wracać do domu wieczorem. Ale do tego trzeba środków. Rząd liberyjski dał nam duży kawał gruntu. Trzeba go wykarczować i oczyścić. Uprawa jego będzie nam mogła dostarczyć w znacznej części środków do utrzymania naszych dzieci. Ale przygotowanie ziemi pod uprawę wymaga pewnych uprzednich nakładów. Moglibyśmy mieć setki dzieci, gdybyśmy byli w stanie je przyjąć. Ach, jakże to boleśnie dla misyonarza, gdy musi patrzeć na odchodzące z niczem dzieci i mówi sobie: zbawcza woda Chrztu św. nie spłynie nigdy na czoła tych malutkich, za których Chrystus nasz umarł i których tak kocha!

Na przyszły rok, jeżeli Bóg dozwoli życia, spodziewamy się założyć jeszcze dwie misye: jedną na najdalszym północnym krańcu Liberyi, drugą w środku krainy Bama, ku wschodowi. Punkta te, bardzo odległe od siebie, będą mogły służyć jako centra prowincyj kościelnych, w około których można będzie pozakładać stacye drugorzędne i tym sposobem, w ciągu kilku lat, objąć kraj cały. Istnieje w Liberyi wszystkiego 14 plemion tubylczych. Potrzeba będzie przynajmniej

jednej misyi centralnej na każde plemię. Z tego, co widziałem w bieżącym roku, sądzę, że 5.000 franków wystarczyłoby na założenie każdej z tych misyj centralnych, tak, iż suma na ten cel potrzebna nie byłaby nadmierną. Nie potrzebujemy tu wydawać tak niezmiernie wiele na budowę, jak na Wybrzeżu. Mieszkamy sami w domu krajowym: kilka prętów bambusowych, przykrytych ziemią i kilka liści bambusowych, jako dach, wystarczają.

Życie nie jest drogie i misye raz ufundowane, mogłyby na miejscu wystarczyć niemal same sobie. Ale trzeba pokryć pierwsze koszta Musimy dopiero zakładać, a nie rozwijać. Jest to właśnie najkrytyczniejszy okres, od którego zależy przyszłość misyi, powodzenie lub niepowodzenie czwartej próby ewangelizacyi tego kraju. Szkodaby było doprawdy, gdybyśmy zmuszeni byli go opuścić dla braku środków.

Pokładam zupełną i niepłonną ufność w powodzeniu misyi, gdyby nas tylko trochę podtrzymano w pierwszych wydatkach, wydatkach fundacyi: potem misye zdołają utrzymać się same. Bóg, zdaje się, uprzywilejował nas w sposób szczególny, jak gdyby dla dodania nam zachęty. Oto już rok cały jesteśmy w tym kraju o klimacie tak zabójczym, a mimo to zdrowie nasze było zawsze względnie dobre, oprócz paru lekkich ataków febry. Jest to dowód oczywistej dobroci Bożej względem nas i życzenia, jakie żywi, aby widzieć wreszcie kraj ten chrześcijańskim i katolickim. Ufajmy, że życzenie to się spełni. Na przyszły rok chcielibyśmy założyć na północy Liberyi misyę Niepokalanego Poczęcia na cześć naszej ukochanej Matki i Jej wyłącznego przywileju — i drugą jeszcze misyę ku wschodowi, pod wezwaniem św. Józefa, powszechnego Opiekuna Kościoła.

Jedna część Liberyi nosi już imię Maryi — Maryland (Ziemia Maryi), kolonia, powstała prawdopodobnie dzięki murzynom katolickim, przybyłym z Marylandu z Ameryki, kolonii, założonej przez katolika irlandzkiego, nazwiskiem O'Carro, na cześć Najświętszej Panny. Na nieszczęście katolicy są tu jeszcze bardzo nieliczni Spotkałem ich ze trzydziestu w czasie podróży po kraju. Podczas gdy liczba protestantów wynosi 40.000, a mahometan 300.000, reszta ludności 3,000.000 jest pogańską, tak, że mamy jeszcze z czego dawać Kościołowi św.

Rząd cywilizowanej części kraju wzorowanym jest na konstytucyi Stanów Zjednoczonych. Jest tam prezydent i są dwie Izby. Po między Liberyjczykami ucywilizowanymi znajdują się ludzie bardzo uczeni i wybitni. Okazywali nam oni, od pierwszej chwili naszego przybycia, głęboki szacunek.

Prezydent chwalił misyonarzy katolickich, jako siłę cywilizacyjną. Obiecał pomagać nam wszędzie, o ile tylko będzie mógł. Skoro tylko pozakładamy misye we wnętrzu kraju. trzeba będzie pomyśleć o usadowieniu się wpośród ludności ucywilizowanej, na wybrzeżu Monrowii, w Cap-Mount i na Przylądku Palmowym. Ale obecnie wnętrze pochłania całą naszą uwagę. Jesteśmy pierwsi na placu. Nie mamy jeszcze konkurentów, a zatem możemy spodziewać się obfitego żniwa, jeżeli dusze miłosierne wesprą nas.

Na zakończenie, Czcigodna Pani, polecam się wraz z moimi współbraćmi i ludami, nam powierzonymi, Twoim i Twoich współuczestniczek żarliwym modlitwom — prosząc Boga, aby Ci udzielił w ciągu długich lat jeszcze siły i zdrowia niezbędnego do pracy skutecznej dla chwały Jego Imienia i zbawienia dusz.

Drobne wiadomości misyjne.

W. O. Jenn, ze Zgrom. Oblatów Niepokalanego Poczęcia Najśw. Panny Maryi, misyonarz w Natalu, donosi nam o cudach, jakie łaska Boża zdziałała w dwóch biednych skazańcach:

„Będzie temu dwa tygodnie O. Mayr i ja mieliśmy smutną pociechę towarzyszyć na miejsce stracenia pięciu nieszczęśliwym Kafrom, skazanym na śmierć za zamordowanie dwóch białych w czasie buntu. Czterech innych, również skazanych za tę samą zbrodnię, zostało ułaskawionych. Pomiędzy pięciu pierwszymi był jeden wódz, liczący około 70 lat, jeden czarownik i jeden luteranin. Wszyscy pięciu przyjęli katolicyzm i ponieśli śmierć z przedziwną odwagą, poddaniem się i ufnością w miłosierdzie Pana naszego."

Czytelnicy nasi znają oddawna Wiel. O. Jenn. Polecamy gorąco ich miłosierdziu misyę tego poświęconego i niezmordowanej gorliwości misyonarza.

Misya Kasisi. W. O. Torrend, T. J., podaje nam następujące szczegóły o postępie i trudnościach swojej nowej misyi. Jest to posterunek nader ważny, który polecamy żywo miłosiernej uwadze naszych czytelników:

„Sądząc z moich doświadczeń pierwszych dwunastu miesięcy mego pobytu tutaj, misya ta będzie mogła wystarczyć sama sobie i całkowicie, dzięki swoim plantacyom, dopiero za trzy lata, a nawet wtedy postępy jej będą jeszcze powolne przez czas jakiś, wszystko jednak obiecuje, że za siedm lub ośm lat będzie to misya kwitnąca pod każdym względem. U stóp kaplicy tworzy się już wieś złożona z rodzin katechumenów i nie przesadzam, mówiąc, że katechumeni ci budują mię szczególniej swoją pilną pracą, uwagą podczas udzielanych im nauk, swoją szczerością i t p. Sądzę, że pisałem wam już w moim ostatnim liście, iż pragnąłbym tu mieć Siostry jak najprędzej. Brak środków nie dozwala mi sprowadzić ich jeszcze w bieżącym roku. Wszakże póki nie będziemy mieć Sióstr, jest mi prawie niepodobna pomyśleć o prawidłowej nauce dziewcząt, a póki nie będziemy mieć młodych dziewcząt chrześcijańskich, póty niebezpieczną rzeczą jest prawdziwie chrzcić chłopców..."

W. Matka Zenaida, Przełożona Gener. Sióstr ze Zgrom. św. Józefa z Cluny, pisze do nas z Tananariwy, podając nam następujące szczegóły o ciekawej ich działalności wpośród Malgaszów:

„Choć bardzo niepewne co do przyszłości naszych zakładów, mogłyśmy jednak otoczyć dotąd naszą pieczołowitością 1.200 dzieci. Zadanie nasze przy nich napotyka na wiele trudności, ale trudności te wynagradza nam wiele pociech i rysów prawdziwie budujących. Tak, wpośród tych natur jeszcze nawpół dzikich, spotyka się dusze piękne zapewne w oczach Boga. Niestety! czy długo jeszcze będzie nam wolno pełnić nasze zadanie przy tych biednych dzieciach? Przyszłość brzemienną jest burzą dla Zgromadzeń zakonnych i my jesteśmy tu także bardzo zagrożone. Poddajemy się z uległością świętej woli Boga, ale serce nam się ściska boleśnie na myśl o losie tych biednych Malgaszów Rok 1906 doświadczył ich ciężko przez gorączkę, która porwała wiele ofiar. Rok 1907 zapowiadał się lepiej, ale od miesiąca epidemia szerzy się znowu w Tananariwie i wpośród jej dzieci. Ubóstwo Malgaszów jest wielkiem, a pomoc mi-

syonarzy, biednych także, zbyt jest niedostateczną, by zaradzić wszystkim potrzebom i dostarczyć lekarstw chorym! Iluż ich leży na lichych matach, pożeranych przez gorączkę, oczekujących tylko śmierci!

Przebacz mi, Czcigodna Pani, że pozwalam sobie przedstawiać ci potrzeby naszej misyi malgaskiej. Droga twoja Sodalicya stawia cię w zbyt blizkich stosunkach z naszą biedną Afryką, aby cię to miało zadziwić."

Kronika Sodalicyi Św. Piotra Klawera.

Rzym. *Dnia 9 września 1907 r.* — Uroczystość św. Piotra Klawera obchodzoną była publicznie w kościele *del Gesù*. Msza św. i Komunia św. wspólna przy ołtarzu św. Ignacego. Ku czci wiernych wystawione były relikwie św. Apostoła murzynów. Uroczystość poprzedziło *triduum* z błogosławieństwem Przenajświętszego Sakramentu. W kaplicy św. Piotra Klawera, Via dell' Olmata, dzień naszego św. Patrona obchodziłyśmy w poufnem kółku naszej małej rodziny zakonnej.

W Salzburgu, Tryeście, Wiedniu, Monachium dzień św. Piotra Klawera obchodzony był uroczyście, a udział wiernych był nader pocieszający.

Dnia 19 września. — Odwiedziny Brata Romualdo, ze Zgromadzenia Braci Mniejszych, misyonarza w Bengasi, w Trypolitanii, współpracownika W. O. Paulina, dobrze znanego naszym Czytelnikom.

Dnia 14 października. — Nowy Prokurator Ojców z Montfort chciał złożyć Generalnej Kierowniczce swoje uszanowanie.

Dnia 17 października. — Na bardzo tylko krótki czas przybywszy do Rzymu, odwiedził nas Przewielebny O. Ireneusz, ze Zgrom. OO. Kapucynów, misyonarz kraju Somalisów. Opowiedziawszy nam wiele o swojej misyi, pozostawił nam zbiór nader interesujących fotografij z kraju Somalisów, które zapewne podobają się gościom, zwiedzającym nasze muzeum. Nasze, w większej części na nowo uposażone muzeum przy Via dell'Olmata, jest otwartem codziennie od 9 do 12 i od 2 do 6 godziny po południu, zapraszamy więc najuprzejmiej wszystkich pielgrzymów rzymskich, by zechcieli je zwiedzić.

Dnia 20 października. — Dzisiaj odprawił apostolski Prefekt Erytrei, Przew. O. Michele da Carbonara, w naszej kaplicy domowej Mszę św. Tegoż samego dnia zaszczycił nas jeszcze swemi odwiedzinami nowomianowany apostolski Prefekt Trypolisu, Przew. O. Bonaventura, ze Zgrom. Braci Mniejszych, pracujący w bardzo uciążliwej części winnicy, gdzie islam i katolicyzm walczą z sobą zacięcie o dusze.

Filia w Wiedniu. *Dnia 30 października.* — **Dzięki mającemu się odbyć w tych dniach w Wiedniu VI Zjazdowi katolickiemu, spotkała nas radość, że pomimo spóźnionej pory możemy powitać naszą Czcigodną Generalną kierowniczkę. Krótki względnie czas jej pobytu został wypełnionym bogatym programem propagandy.**

Dnia 3 listopada. — O godz. 4 po południu odbyło się w parterowej sali cesarskiej Akademii nauk doroczne zebranie naszych zelatorów i zelatorek z wielkim udziałem publiczności. Nasza Generalna kierowniczka miała na niem nader interesujący odczyt o swej niedawnej podróży w celach propagandy dla misyj.

Dnia 10 listopada wygłosiła dla wychowanek internistek c. k. cywilnej pensyi żeńskiej w dzielnicy Josephstadt odczyt, na którym była obecną także naczelna przełożona pensyi, pani Bańkowska, oraz panie z personalu nauczycielskiego. Młode audytoryum przysłuchiwało się z natężoną uwagą wywodom prelegentki, polecającej ich sercu wspieranie misyj afrykańskich głównie ze względu na panujące w Afryce niewolnictwo kobiety.

Filia w Monachium. — Na walnem zebraniu zelatorów dnia 20 października, starał się Przew. X. beneficyat Luther przekonać zebranych, jak właśnie członkowie Sodalicyi powinni szczególniej pilnie czytać „Echo.“ Tu znajduje się prawdę o doli i niedoli afrykańskich misyj, tu sposobność czynienia dobrze, bez szukania przytem kompensaty w rozrywce, a zatem jest to czysta ofiara której całkowita nagroda oczekuje nas w wieczności.

Biuro ekspedycyjne w Steyr. *Dnia 31 października — 4 listopada.* W tych dniach odbyła się w sali Wielebn. Sióstr od św. Krzyża (Kreuzschwestern), które służą nią zawsze najuprzejmiej, podobnie jak i w roku poprzednim, nader bogata wystawa wykończonych w ciągu ubiegłego roku przez pracowite panie tutejsze ornatów i bielizny kościelnej. Czcigodny ksiądz proboszcz Strobe, otworzył wystawę, którą nader licznie zwiedzano. Pozwalamy sobie wyrazić na tem miejscu nasze najgorętsze podziękowanie niezmordowanej kierowniczce robót pani Baronowej Ludwice Handel, zarówno za urządzenie wystawy, jak i za całą jej działalność na rzecz misyj afrykańskich.

Filia w Krakowie. *Dnia 27 grudnia 1907 r.* — We trzy lata prawie po rozpoczęciu się w filii naszej miesięcznych zebrań zgromadziły się Panie na jedną z najpiękniejszych konferencyj: *O kobietach apostołkach w Kościele katolickim,* począwszy od współczesnych Panu Jezusowi św. Niewiast, od Męczenniczek pierwszych wieków chrześcijaństwa, tych apostołek wiary, aż do dni dzisiejszych, do założycielek różnych dzieł miłosierdzia współczesnej doby. Wspaniały ten łańcuch związany został z osobą generalnej kierowniczki Sodalicyi św. Piotra Klawera i temi, co ją w tem dziele zbawienia dusz wspomagają.

Apostołów, wyrzekł między innemi Czcig. Mówca, X. Wnęk T. J., nie mierzy się *ilością,* lecz *gorliwością.* Jedna dusza gorąca więcej zdziała, niż wiele letnich. A jedno słowo we właściwej chwili powiedziane, więcej nieraz może, niż najbardziej ognista przemowa.

Ileżto istot kobiecych miałoby do spełnienia iście apostolskie zadanie w Sodalicyi św. Piotra Klawera!

ODCINEK.

KSZTAŁT KRZYŻA W PRZYRODZIE I KULTURZE

przez Franciszka K. Lebzelter'a.

(Dokończenie).

Jest jeszcze jeden krzyż w świetle planetarnem podczas jasnych, zwrotnikowych nocy; krzyż, którego żaden robak ziemski dosięgnąć nie zdoła, który spogląda na ziemię z tych dalekich przestworów, gdzie w niczem niezmąconej ciszy konstellacye niebieskie dopełniają swych odwiecznych kolei. Jest to krzyż południowy.

Nikt chyba nie zapomniał jego lśnienia, komu kiedykolwiek danem go było ujrzeć, czy to gdy odźwierciadlał się w osnutej mrokiem nocnym toni oceanu, czy gdy przyświecał ponad odwieczną cichą puszczą, czy gdy samotnemu wędrowcowi w stepach południa nowy dzień zwiastował. Aleksander Humboldt wspomina także w swych „Podróżach" *(Reisen in die Aequinoktialgegenden des neuen Kontinentes)* o tej konstellacyi, której pojedyńcze gwiazdy tworzą kształt krzyża. „Żywą naszą radość na widok krzyża południowego, pisze Humboldt, podzielali równie żywo ci z pośród załogi, którzy mieszkali dawniej w koloniach. W bezmiernej samotności morza pozdrawia się każdą gwiazdę, jak przyjaciela, z którym się pozostawało w długiej rozłące. U Portugalczyków i Hiszpanów wrażenie to potęgują jeszcze pewne poszczególne przyczyny, a mianowicie uczucie religijne drogim im czyni gwiazdozbiór, którego kształt przypomina im godło wiary, zatknięte niegdyś przez ich ojców w pustkach nowego świata. Ponieważ dwie wielkie gwiazdy, oznaczające wierzchołek i stopę krzyża, posiadają mniej więcej to samo t. zw. wznoszenie się proste, konstelacya, przechodząc przez południk, musi zajmować położenie prawie pionowe. Okoliczność ta znaną jest wszystkim ludom mieszkającym po tamtej stronie zwrotnika i na półkuli południowej. Zauważono, o jakiej porze nocy w różnych porach roku krzyż południowy stoi prosto, lub też jest pochylony i na żadnej innej grupie gwiazd nie daje się czas obserwować gołem okiem tak dokładnie. Często słyszeliśmy naszego przewodnika po sawannach Wenezueli i w pustyni pomiędzy Limą a Truxillo, mówiącego: „Już po północy, krzyż zaczyna się pochylać."

Na długo przedtem zanim forma krzyża, dzięki śmierci, jaką poniósł na nim Chrystus, osiągnęła swe wszechświatowe znaczenie, już kształt ten znano. W czasach przedhistorycznych, jako też w buddyjskich królestwach Indyj i w starożytnym Egipcie, występuje już krzyż, a mianowicie w epoce przedhistorycznej i w budyzmie jako tak zwany krzyż Svastiki, którego kształt powstał przez to, że oba punkty końcowe każdej z dwu belek, ułożonych jedna ku dołowi a druga ku górze, łączy małe ramię poprzeczne. Na wyobrażeniach królów starożytnego Egiptu widzimy często krzyż t. zw. egipski z zaokrąglonym pierścieniowato trzonkiem zamiast części górnej. Forma ta posiada zarówno w Egipcie jak w Indyach religijne znaczenie.

Krzyż właściwy w znanej nam powszechnie formie, nie jest niczem innem, jak tylko hańbiącem drzewem stracenia skazańców. Na długie wieki przed Chrystusem, zarówno w państewkach Greckich, jak i w Cesarstwie Rzymskiem, niejeden z nich skonał już na krzyżu — i jest to rzeczą obojętną, czy kształt jego podobnym był krzyżowi do którego przygwożdżonym był Zbawiciel, czy brakło części górnej lub nie, i czy ramię poprzeczne opuszczonem było ku dołowi, lub też wzniesionem ku górze, jak to miało miejsce w t. zw. krzyżu łotrowskim, którego widelcowata forma przypomina literę ypsylon (Y). Dopiero po ukrzyżowaniu Chrystusa Pana i utwierdzeniu się Jego nauki, wykształciła się z czasem obecnie znana nam forma krzyża w Kościele i świecie chrześcijańskim. — Możnaby o tem napisać osobną historyę. Dzisiaj krzyż jest już nietylko symbolem religijnym wyłącznie, ale służy także sztuce i rysunkowym potrzebom przemysłu w wielu jego wyrobach.

Krzyż jako drzewo stracenia jedynie, byłby już dawno zaginął w pamięci ludów. I tylko to, że najszlachetniejszy z synów ludzkich, jakich kiedykolwiek ziemia oglądała, Bóg-Człowiek umarł na tem drzewie za swoją naukę — tylko to nadaje temu drzewu dziś jeszcze wartość w życiu. Monety i medale nosiły i noszą po jednej swej stronie rysunek krzyża, a państwa nadają krzyże tym, których chcą uczcić. Pod wpływem tego to pobożnego uczucia opiewa Dante tak poetycznie w swej *Boskiej komedyi* konstellacyę krzyża, a Humboldt, który widział gwiazdy większe i piękniejsze, poświęca właśnie „krzyżowi południowemu“ swe wspaniałe słowa. Jeżeli Indyanin z *Rocky-Mountains* (Gór Skalistych) wśród grozy rozszalałych burz zasłaniał sobie oblicze przed rozświetlonym w błyskawicach krzyżem, to ulegał on w tem, właściwej ludom pierwotnym, obawie wobec wszystkiego, co zagadkowe i niezbadane, oraz potrzebie skojarzenia tych zjawisk z właściwem mu o Bóstwie pojęciem.

Komu krzyż jest drogim, ten spogląda z tem samem uczuciem na skalny złom góry Św. Krzyża, co i na każdy nacechowany wyobrażeniem krzyża twór natury. Ożywiony tem pełnem pobożnej czci uczuciem, powierzył niegdyś cesarz Konstantyn najwaleczniejszym z pośród swych żołnierzy, legii labuańskiej, ozdobione znakiem krzyża, sztandary.

ODPUST ZUPEŁNY,

którego w **lutym** dostąpić mogą członkowie i zelatorzy Sodalicyi św. Piotra Klawera:

Dnia 2 lutego w uroczystość Oczyszczenia Matki Boskiej.

Dnia 25 lutego w uroczystość św. Macieja, Apostoła.

Warunek: Godne przyjęcie św. Sakramentów Pokuty i Ołtarza, nawiedzenie kościoła, modlitwa o rozkrzewienie wiary i na intencyę Ojca św.

Zamknięcie redakcyi 15 grudnia 1907.

Wydawca: Sodalicya Św. Piotra Kl. Redaktor odpowiedzialny: ***Zofia Popielówna.***

W Krakowie. — Czcionkami drukarni „Czasu.“